Babcia Lena skacze z Giewontu

Zakopane, Dolne Krupówki, lata dwudzieste XX wieku.

Romuald „Aldek” Roman

Zazwyczaj, gdy poznajemy ludzi w wieku dojrzałym, nie przychodzi nam do głowy, że ci poważni, nobliwi panowie i panie byli w młodości jeszcze bardziej zwariowani niż my, gdy byliśmy w ich wieku. A tak często bywało, a już szczególnie, gdy mamy do czynienia z pokoleniem Woodstocku, czyli niegdysiejszymi hipisami, teraz będącymi sześćdziesięciolatkami na stanowiskach lub, jeszcze częściej, emerytami, którzy robią wszystko, by nikt ani przez chwilę nie pomyślał, że czterdzieści lat temu palili trawę. A przecież oni tacy byli. Słuchali Jimmy’ego Hendrixa i nie bali się AIDS, bo wtedy go jeszcze nie było. Nie bali się klechów, bo Kościół siedział pod miotłą komuny, więc kochali się na prawo i lewo, i z wyjątkiem podwyższonego przyrostu

naturalnego kochanie to nie miało żadnych niepożądanych konsekwencji.

Tak sprawa wygląda z moim pokoleniem. Ale czy na początku XX wieku, trzy pokolenia przede mną, gdy panie nosiły gorsety, a panowie odkryli narty i jeździli z jednym kijkiem, łatwiej im było powstrzymywać się od wybryków? Ależ nie! Oni żyli z fantazją co najmniej równą naszej. A wśród tych panów z wąsikami i pań w kapeluszach z piórami trafiały się takie osoby, że gdy po stu latach pra-pra-prawnuki czytają o ich wyczynach, łapią się za głowę. Posłuchajcie, proszę, o mojej pięknej babci Lenie Roman-Dzieduszyckiej.

Mój dziadek, wielki lwowski aktor Władysław Roman, zmarł w 1904 roku, zostawiając młodziutką żonę i dwoje małych dzieci: Mieczka i Janeczkę. Mieczko to mój ojciec, „bohater dziejowy" (przezwisko nadane mu złośliwie przez teściową), a Janeczka to późniejsza sławna aktorka Janina Romanówna, czyli moja ukochana ciocia Janeczka. Zapłakana wdowa, Lena Roman, to moja babcia, którą spotkacie też w innych opowiadaniach.

Jest rok 1908. Lena Roman dosłownie staje na głowie, by osiągnąć trzy życiowe cele: znaleźć drugiego męża, najlepiej z tytułem, jakiegoś księcia lub przynajmniej hrabiego, zdobyć pieniądze oraz sławę. Oczywiście najlepiej byłoby osiągnąć wszystkie trzy cele równocześnie, więc Lena dwoi się i troi, i

walczy na wszystkich trzech frontach. Najpierw pozbywa się kłopotów z dziećmi, oddając je na wychowanie matce męża, a potem, o ile tylko było to możliwe, wysyłając je do prywatnych szkół.

Gdy to jej się udało, Lena, już wolna jak panienka, próbuje wykorzystać nazwisko i pamięć o mężu i… zostać aktorką. Przyjmują ją na próbę do teatru Fredry (dziś Słowackiego) w Krakowie i dają do grania ogony, role w rodzaju „Panie hrabio, czy można zapodać zupę?”. To jest dla Leny afront, bo skoro jej mąż grał Jaśka w Krakowskiej premierze *Wesela*, to ona żadnych zup nosiła nie będzie. Dla niej Ofelie i Julie, a nie jakieś tam kuchenne kocmołuchy. Tymczasem, żeby grać Ofelię, trzeba być Wysocką, Solską, Przybyłko-Potocką albo przynajmniej kochanką dyrektora. A Lena nic. Inne panie albo miały większy talent, albo były pierwsze w kolejce przed drzwiami dyrektorskiej sypialni. Tak więc z pójścia w ślady nieboszczyka męża nic nie wyszło.

Niezrażona Lena walczy więc, by wyrobić sobie nazwisko w literaturze. Próbuje publikować w lwowskiej prasie smutne wiersze miłosne pełne dźwięcznych częstochowskich rymów. Wszyscy wtedy tak pisali, jedni trochę lepiej, jak Asnyk, inni trochę gorzej, jak Konopnicka, styl Leny nie różnił się więc specjalnie od stylu reszty grafomanów i jej wiersze były od czasu do czasu publikowane i zatykały puste miejsca w galicyjskich

gazetach.

To jednak nie było to, o co Lenie chodziło. Zawiódł ją teatr, bo w czasie dwóch lat, gdy próbowała grać, tańczyć i śpiewać, nie tylko nie została gwiazdą, lecz jeszcze zdążyła pokłócić się z wieloma ważnymi osobami. Pisanie też odłożyła na bok, obiecując sobie, że jeszcze stworzy kilka powieści i wtedy dopiero da się poznać światu. Tu dodam, że powróciła do tego zamierzenia w latach dwudziestych i jej kilkusetstronicowa powieść *Tajemnica Pałacu Dożów*, pełna duchów i zbrodni, przetrwała do dziś w mojej szufladzie wśród rodzinnych papierów.

Pozostała ostatnia, najważniejsza i najtrudniejsza część planu – znalezienie męża. Początkowo miała nadzieję, że mąż trafi się sam, zwabiony jej urodą i… aurą nieszczęścia. Przekonała się jednak szybko, że o inne niż „biedna zapłakana wdowa" nieszczęście tu chodzi, bowiem zapłakanych wdów z dziećmi, na dodatek bez pieniędzy, potencjalni mężowie unikają jak ognia. O nie! Na wdowę żaden, nawet najgłupszy baron, nie da się złapać. Nieszczęśliwe piękności, jeśli chcą być ratowane przez rycerzy, muszą stworzyć taką sytuację, że cały świat wie o ich urodzie, a rycerz gotów jest narazić się na niebezpieczeństwo, by zdobyć kochaną. W tym celu musi uratować drżącą dziewicę z paszczy lwa, a jeszcze lepiej smoka, walczyć z czarownicą, a nawet, jeśli trzeba, zamienić się w żabę.

Babcia Lena wymyśliła, że wielu potencjalnych absztyfikantów przyjeżdża do Zakopanego i udaje, że wybiera się w góry. Większość jednak w góry nie idzie, bo ląduje w kawiarni. Siedzą tam, palą, piją koniaczki i… plotkują o górach. Z Krakowa do Zakopanego kilometrów sto. Dojechać łatwo, bo kursuje pociąg. Lena zaprosiła na wakacje, jako przyzwoitkę, swoją siostrę Wandę, po czym wynajęła na dwa letnie miesiące willę w pobliżu sanatorium doktora Chramca.

Polowanie się zaczęło.

Ponętna Lena spacerowała z parasolką po Krupówkach (tak, wtedy Krupówki również nazywały się Krupówki), piła w kawiarniach kawusię i gorącą czekoladę, słuchała koncertów, poznawała pensjonariuszy i letników, lecz żaden poważny kandydat na męża się nie trafiał. Ot, jakiś tam skrzypek, jakiś urzędnik gubernialny, kupiec z Warszawy. Ale przecież nie o to chodzi! Lena szukała grubej ryby, a nie płotek. Od czego jednak miała twórczy rozum? Choć starannie ukryty pod wielkim kapeluszem i piękną fryzurą, działał sprawnie i zdolny był wygenerować pomysły godne Machiavellego. Lena postanowiła zrobić z siebie ofiarę: zginąć tragicznie w górach. Właśnie teraz, gdy jest piękna, utalentowana, pełna życia… Ale zginąć tak, by wstrząsnęło to Zakopanem: skoczyć z Giewontu! Teraz oddam głos prasie krakowskiej z początków sierpnia 1908 roku:

Z kraju

Tragiczna śmierć artystki w Zakopanem

Z Zakopanego otrzymujemy dzisiaj wstrząsającą wiadomość, która i w Krakowie niewątpliwie wywrze przygnębiające wrażenie, ze względu na osoby tragedyi, dobrze znane w artystycznych kołach naszego miasta.

Oto przed paroma dniami runęła w przepaść z Giewontu, zabijając się na miejscu, artystka teatru miejskiego we Lwowie, wdowa po znakomitym artyście ś.p. Władysławie Romanie. — Towarzyszący jej na tej nieszczęsnej wycieczce znany muzyk i kompozytor Robert Poselt, chcąc ratować p. Romanową, sam także spadł w przepaść i odniósł liczne, ciężkie obrażenia na całem ciele.

Szczegóły katastrofy przedstawiają się w następujący sposób: Między kuracyuszami i letnikami, bawiącymi obecnie w Zakopanem, przebywała także p. Lena Romanowa z siostrą swą Wandą. Obydwie siostry wybrały się przed paru dniami w towarzystwie p. Romana Poselta na wycieczkę na szczyt Giewontu. Skutkiem nieostrożności p. Romanowej, która, jakby z rozmysłem wybierała najniebezpieczniejsze urwiska na skale,

usunęła się jej w jednem miejscu ziemia z pod stóp, a młoda kobieta w jednej chwili zniknęła w przepaści, znajdując straszną śmierć, szarpana i rozbijana o ostre złomy skał. Towarzysz nieszczęsnej, p. Poselt, chcąc ją ratować, także runął w przepaść i cudem tylko ocalał od śmierci, doznał jednak tak ciężkich obrażeń na całem ciele, iż nieprzytomnego przewieziono go do Zakopanego, gdzie u łoża jego zgromadzili się natychmiast lekarze. — P. Poselt oprócz wielu innych ran doznał z ł a m a n i a s z c z ę k i.

Siostra ś. p. Romanowej, Wanda, ocalała, gdyż w chwili runięcia w przepaść obojga znajdowała się o kilka kroków dalej.

Poselt zamierzał dać w Zakopanem w tych dniach koncert, zdaje się jednak, że o ile znakomitemu skrzypkowi nie grozi zupełne kalectwo, dłuższy czas nie będzie mógł oddawać się swej sztuce.

O ś.p. Romanowej opowiadają, że stosunki teatralne, oraz zwątpienie w swój talent, popchnęły ją do rozpaczliwego kroku, bo od dłuższego już czasu planowała tą straszną wycieczkę – napomykając o swej bliskiej śmierci i.t.p.

Miarodajne czynniki Zakopanego starały się okropny ten wypadek utrzymać w tajemnicy, by nie szerzyć popłochu wśród gości zakopiańskich, tajemnica jednak długo utrzymać się nie dała i obecnie cały ogół kuracyuszów i letników do głębi przejęty

katastrofą, ma ją niemal za jedyny temat rozmów i opowiadań.

Lena dopięła swego! Wiadomość o jej śmierci została powtórzona przez prasę lwowską, a nawet wiedeńską! Po czym, parę dni później, sensacja:

Śmierć na Giewoncie?

Przyczynek do dziejów mistyfikacyi

——

(Od naszego korespondenta).

Zako
pane, 18 sierpnia

Dzienniki krakowskie, które tu nadeszły dziś rano z wiadomościami o „ś m i e r c i n a G i e w o n c i e", wywołały zupełnie zrozumiale poruszenie. Donosiły bowiem o zabiciu się pani Leny Romanowej, artystki teatru lwowskiego, wdowy po nieodżałowanej pamięci ś. p. Władysławie Romanie i poważnem kalectwie artysty-skrzypka p. Poselta. Oboje mieli spaść podczas wycieczki z Giewontu. Dzienniki przechodziły z rąk do rąk, w kawiarniach i pensyonatach, fakt ten stanowił główny temat rozmów licznych, bawiących tu letników i kuracyuszów. Z

obowiązku poszedłem na miasto, aby zasięgnąć bliższych informacyj.

Wpadam najpierw do wszystkowiedzącego p. Płonki. Przeczytawszy informacje dzienników, zawołał:

– Panie, to wszytko nieprawda! P. Poselt mieszka u mnie, jadł przed chwilą śniadanie i jest zdrowiutki jak ryba.

– A może przecież coś się stało?

– Zupełnie nic. Przecież w moim domu mieści się „klimatyka”, setki gości przewija się przez mój lokal, wiedziałbym więc coś o tym, gdyby zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Wiem tylko tyle, że p. Poselt spadł przed dwoma tygodniami z roweru i potłukł się trochę, ale jest już obecnie zupełnie zdrów . Niech pan przejdzie zresztą do p. Poselta, mieszka u mnie na pierwszym piętrze pod nrem 4.

[Zatarty fragment].

Przez Marszałkowską udałem się na Chramcówki. W pobliżu zakładu dra Chramca, vis -a-vis willi „Czarny Staw”, stoi mała, niepozorna willa „Kosówka”. Tę willę dzierżawi pani Lena Romanowa.

Wchodzę i zastaję tam jednego z młodych literatów krakowskich, który natychmiast przypada do mnie i zapytuje, kto mógł tak poważne dzienniki jak „Słowo Polskie” i „N. Reformę” ubrać w fałszywą informację. W odpowiedzi wzruszam ramionami, gdy wchodzi młoda, smukła, bardzo przystojna kobieta, której, jako pani Michalinie Romanowej, przedstawia mnie mój interlokutor.

Pani Romanowa jest w najwyższym stopniu znękana zaszłą mistyfikacją, o której na pół godziny przed moim przybyciem się dowiedziała.

– Kto to mógł zrobić? Kto pozwolił sobie na tak złośliwy żart? Jestem ośmieszoną. Nie będę mogła się teraz nigdzie pokazać.

Uspokajam jak mogę, p. Romanowa nie może jednak przyjść do siebie. Ciągle powtarza: „Kto to mógł zrobić?”. Na moją uwagę, że ktoś, komu zależało na puszczeniu w świat tej nieprawdy, musiał w liście podpisać kogoś wybitnego, inaczejby redakcya nie uwierzyła informacyi – stoi bezradna, nie wie, co o tym myśleć.

W tej chwili wchodzi panna Wanda, siostra p. Romanowej, która podczas rzekomego wypadku na Giewoncie jedyna ocaleć miała, i przynosi dzienniki, po które siostra ją posłała. Pani Romanowa jest jednak tak zdenerwowaną, że nawet odczytać artykułu nie mogła.

***

Należałoby zdemaskować autora tego złośliwego i głupiego żartu.

Z.R.

Nikogo jednak nie zdemaskowano, a Lena, mimo genialnego pomysłu, by zwrócić na siebie uwagę, wróciła z pobytu pod Tatrami bez męża.

Wspomniałem już jednak, że babcia nigdy się nie poddawała. Kiedy zrozumiała, że ani jako aktorka, ani taterniczka furory nie zrobi, kupiła sobie kino, jedno z pierwszych we Lwowie, a potem drugie, i miała tyle koron w kieszeni, że nie wyjeżdżała do Zakopanego i Krynicy, tylko na Riwierę, do Dalmacji, do Wenecji. I tam wreszcie spotkała podstarzałego hrabiego i została hrabiną. Na to nigdy nie jest za późno, trzeba tylko się starać, jak moja babcia Lena.

Kolejny fragment książki „Zakopiański Dom Wariatów" we wtorek, 11 października 2016 r.